

NIETZSCHE A STAROŻYTNÓŚĆ.

I.

Nie bez zdziwienia przeczytałem niedawno na łamach pewnego czasopisma oświadczenie, że Fryderyk Nietzsche, jako romantyk, nic nie miał do zawdzięczenia swemu wykształceniu filologicznemu, poza pewnym stosunkiem określonym do piękna antycznego. Zdziwiła mię nietyle niesłuszność samego sądu i tkwiące u podstaw jego spacone pojmowanie antyku -- to bowiem jest zjawiskiem pospolitem -- ile nazwisko autora, niewątpliwie nie pochodzącego „od czerni”. Jest to *signum*... nie wiem, czasu czy miejsca, ale raczej miejsca. Starożytności nie dostrzegamy nawet tam, gdzie obecność jej oczywista bywa dla każdego, kto ją zna; pozbawiamy się w ten sposób, świadomie lub nieświadomie, najlepszego środka, aby zorientować się w etylogji historycznej. Stąd to wynika błędna djagnoza, wadliwa terapia... i to, co za tem idzie.

Lecz to, co za tem idzie, na szczęście dla nas, jest sprawą przyszłości; dla doby zaś obecnej droga nadmieniona jest bardzo a bardzo pokusliwa. Mówię tu, spieszę dodać, nie o szanownym autorze przytoczonego wyżej zdania, lecz o samem zjawisku, niezmiernie w nauce na-

szej rozpowszechnionem. Jesteśmy ludem niecierpliwym; w dziecięcym już wieku, jak to od dawna stwierdzono, lubimy poprawiać mapy nieba gwiaździstego; dorósłszy, w dalszym ciągu działamy wedle zasady najmniejszego nakładu energii. Istnieje po temu, jak się okazuje teraz, przyczyna wprost fizjologiczna: higieniści nasi zapewniają nas, że nasz układ nerwowy jest węższy, niż układ nerwowy ludów zachodnich. Więc cóż? Bierze nas chęćka, aby się z Europą pomocować. Więc cóż? Siłą nie podolamy -- trzebaż tedy pomniejszyć opór. Spróbujmy wmówić w siebie i w innych, że wiek dziewiętnasty nic starożytności nie zawdzięcza; wszak to takie łatwe i takie będzie płodne! Przedewszystkiem łatwe: starożytność i tak znamy kiepsko, nie zauważymy przeto jej śladów nawet tam, gdzie półłokciową brózdą worała się ona w myśl współczesną. Skoro zaś wpływu jej nie dostrzegamy, skoro więc wpływu tego niema -- to i pocóż ją zgłębiać? Niechaj sięczą nad nią ludy na Zachodzie, my zaś czasu zaoszczędzonego użyjemy na to, aby poprawiać mapy gwiazdne tudzież inne. Cóż, że poprawki owe okażą się ryzykowne: alboż będzie nas ktośkolwiek sprawdzał? A więc precz z balastem antyku -- to przedewszystkiem. Za kolejną będzie można jej śladem posłać też i średniowiecze, a wreszcie...

A wreszcie, nadrośnie pokolenie, co wszelkie czasy zatopi w płytkiej wodzie swego pojmowania.

II.

„Lecz Nietzsche był romantykiem“. Zgoda, był nim pod wielu względami. Ale czyż antycyzność jest przeciwieństwem romantyzmu? Kto utożsamia świat antyczny z humanizmem, humanizm zaś z klasycyzmem, ten śmiało może, stopniowo zadanie swe upraszczając, utożsamić klasycyzm z klasycyzmem szkolnym, ten zaś ostatni z *extemporale*. Humanizm jest to pogląd na świat; klasycyzm jest to styl; co zaś do świata antycznego, to nie znam takiej pary antytez, któraby nie znajdowała w nim swej syntezy zupełnej i wspólnej. Badawczy umysł Bielińskiego znajdował pierwiastki romantyzmu u Homera i dziwił się naiwnie temu, przywykłszy utożsamiać antyk z klasycyzmem. D. Strauss, wybornie znający starożytność, nazywał jej wskrzesiciela Juljana Apostatę „romantykiem na tronie cesarów“. Założyciele szkoły romantycznej w Niemczech—bracia Schleglowie — byli właśnie, jako romantycy, wszystkimi włóknami duszy związani ze światem antycznym i sami zdawali sobie z tego sprawę. Uwolnijcie tylko romantyzm od zupełnie zewnętrz-

nego związku ze średniowieczem (z którym Nietzsche nie ma nic wspólnego) — a w całości wejdzcie on w świat antyczny, jako jeden z jego żywiołów składowych.

Posłuchajmy, wszakże, samego Nietzschego. W swych „Narodzinach tragedji z ducha muzyki“, tej księdze programowej, rozróżnia on w świecie antycznym dwa pierwiastki: pierwszy—spokojnieplastyczny, kontemplacyjny, intelektualny; drugi — burzliwie-ekstatyczny, instynktowy, woluntarystyczny. Pierwszy nazywa appellińskim, drugi-djonizyjskim. Nietrudno jest się przekonać, że to, co nazywamy romantyzmem Nietzschego, pokrywa się mniej-więcej z jego pierwiastkiem djonizyjskim. Ten to pierwiastek z całą świadomością wcielił on w siebie. Skoro pominąć w jego twórczości okres środkowy, „racjonalistyczny (1875—1882, od „Ludzkie-arcyludzkie“ do „Wiedzy radosnej“), gdy ideał ten odsunięty był na plan dalszy, — to cała jego działalność była poszukiwaniem djonizyjskich norm życia; nie bez zasady część ostatnia jego „Przewartościowania wszystkich wartości“, owa całej filozofji jego synteza, miała nosić nagłówek „Djonizos“.

„Atoli, może ktoś powiedzieć, Djonizos Nietzschego ma równie mało wspólnego z antycznym, jak i jego Zaratustra ze staroperskim“. Jak wiele miał z nim wspólnego, o tem daleko łatwiej

sądzić możemy teraz, niż wówczas, łatwiej dlatego, że Djonizos antyczny i jego orgazm znalazł godnego siebie tłumacza w osobie filologa E. Rodego. Rode był kolegą i przyjacielem Nietzschego, jego sprzymierzeńcem w dysputie, wywołanej „Narodzinami tragedji”. Aby móc należycie filozofję jego zrozumieć, trzeba przeczytać poświęcone Djonizosowi karty z ostatniego dzieła jego przyjaciela — równie naukowej, jak i pociągającej „Psyche”.

Wiadomo mi osobiście, że Nietzsche nosił się z intencją ujawnienia z czasem nici, łączących filozofję jego ze światem antycznym; niešťczęna niemoc, zaćmiwszy jego ducha, nie pozwoliła mu twórczości swej uwieńczyć także i tą koroną historyczną.

III.

Fryderyk Nietzsche jest ostatniem co do czasu dziecięciem Fausta i Heleny; ostatnim awatarem antycznego Djonizosa. Filozofja jego jest ostatnim udziałem, jaki starożytność wniosła w skarbnicę myśli współczesnej. Kiedyś i przez kogoś, spodziewam się, będzie napisana rzecz o „Odrodzeniu Djonizosa”, a w niej odsłoniąta zostanie zagadka całego nietzscheizmu; napisać rzecz taką będzie mógł tylko filolog, nie zaś filozof, ponieważ te pierwiastki starożytności, które

określiły koncepcje Nietzschego, tkwią przeważnie poza tym specjalnym kręgiem literatury antycznej, którym zazwyczaj interesują się filozofowie.

Póki zaś książki takiej niema, nie bez korzyści będzie rozwinięcie zależności Nietzschego od antyku na jednym małym przykładzie, dość jednak wymownym, aby usprawiedliwić wniosek uogólniający, a jednocześnie dość zwięzłym, aby się w niniejszej rozprawce pomieścić.

IV.

Był w Grecji okres, gdy owo „wartościowanie wartości”, stawiane przez nas u podstaw naszej moralności, nie stanowiło jeszcze normy powszechnie przyjętej i z wolna przesiąkało dopiero do systemu oceny całkiem jej obcego — tego, który nazwać można biologicznym. Był to ów czas, który nastąpił po okresie wędrówek oraz śmiałych wypraw kolonialnych. Ci, którzy wysunęli się wtenczas z pośród równych sobie, i pokonawszy nieprzyjaciół, przekazali dzieciom stanowisko w gminie utrwalone — nazywali siebie i byli nazywani „dobrymi”; tym właściwościom, którym zawdzięczali oni swe powodzenie i tryumf, nadano nazwę „cnót”. A były to, rozumie się, rozmaite postaci siły cielesnej i duchowej: „dobry”

mógł być jednocześnie „złym“ — te właściwości się nie wyłączały. Nie „złych“ przeciwstawiano „dobrym“, ale „licych“.

Wyrazy te powstawały same przez się; samo życie treść ich określało: ocena moralna, właśnie wskutek naturalności swego pochodzenia, musiała pokrywać się z oceną biologiczną. Stało się to, oczywiście, nie w samej tylko Grecji, ale wszędzie; wszelako tylko Grecja nad zjawiskiem tem się zadumała i przekazała nam dumań swych pomniki. Pomnikami temi jest poezja VI i V wieków przed N. Ch., zwłaszcza zaś Pindar, Theognides tudzież wskrzeszony niedawno Bacchylides.

„Cnot“ jest wiele, jak wiele bywa przymiotów, zapewniających ludziom zwycięstwo w walce o życie; rzeczą każdego człowieka jest rozpoznać tę „cnotę“, jaką włożyło weni bóstwo, i rozwijać ją. „Stać się tem, czem jesteś, skoroś to poznał“ — oto w przekładzie podana nieudolnym cudownie zwięzła i trafna rada Pindora, udzielana Hieronowi (genoi'hoios essi mathou). Stąd propaganda indywidualizmu. Lecz w jakim sposobie bóstwo kładzie „cnotę“ w człowieka? I na to pytanie dawała odpowiedź biologja: drogą dziedziczności. A skoro tak, tedy „dobry“ obowiązyany jest poślubić żonę również z pośród „dobrych“: indywidualizm biologiczny z konieczności

wiedzie ku arystokratyzmowi. Oto fragment z pieśni Theognida do młodego jego przyjaciela Kirnesa w całej grubej swej szczerości biologicznej:

Wszyscy konie hodujem szlachetne, barany i osły,
I chcąc przychowek z nich mieć, dbamy o dobór par.
Lichej zaś ojca lichego córy nie wzdryga się dobry
Brac za małżonkę swą, złota by wniosła mu garść.

Więc się nie dziw, mój drogi, widząc, że ród nasz
[drobnieje:

Plutos króluje, to on dobrych z lichemi sprzągl.

Wszystko tedy rodzi się z ciała; duch — o, niewątpliwie, jest to wielki, wszechzwycięski pierwiastek (Grecja nie byłaby Grecją, gdyby mogła o tem choć na chwilę zwątpić); ale i on także, jakbyśmy dziś powiedzieli, jest funkcją ciała. Stąd zrozumiały się staję ów kult ciała, którego wyrazem były igrzyska olimpijskie tudzież inne, prorokami zaś — pieśniarze zwycięzców olimpijskich, Pindar, Bacchylides i inni. Arystokratyzm biologiczny rozwija się zawsze na podłożu — jakkolwiek niezawsze zdawano sobie z tego sprawę, — pewnego rodzaju witalizmu materjalistycznego.

V.

Jak nadmieniliśmy wyżej, w okresie, o którym mówimy, poczęła do tej moralności biolo-

gicznej przesądzać się moralność zupełnie innego rodzaju; była to moralność powinności etycznej, moral „dobra“ i „zła“. Geneza tego moralu stanowi zagadkę; taką samą zagadkę, jak i geneza samej świadomości w świecie organizmów, jak geneza samego organizmu w świecie materji. Istnieją, co prawda, ludzie, utrzymujący, że zagadkę tę rozumieją; wszelako ci to właśnie najmniej ją rozumieją. Zrozumiały jest tylko moral biologiczny.

Nie pierwszym, lecz głównym tego naszego moralu przedstawicielem jest Sokrates.

Nie będziemy o tym morale mówić. Całe życie Nietzschego było walką z owym moralą sokratycznym. I Nietzsche bynajmniej nie tai imienia swego przeciwnika: poczynając od „Narodzin Tragedji“, wymienia on je głośno, dobitnie, ustawicznie, jako imię człowieka, który zatrul poczucie etyczne naprzód ludu greckiego, a po nim i przezeń wszystkich innych.

Co do Sokratesa, nikt, mniemam, nawet u nas, nie będzie powątpiewał, że należy on do świata antycznego. Teraz niechaj mi wolno będzie stawić pytanie: czyliż mało zawdzięcza starożytności szermierz, mający jej do zawdzięczenia swego naczelnego i najlepszego przeciwnika?

VI.

Lecz to jeszcze nie wszystko: Nietzsche, zaprzeczając sokratyczny moral dobra i zła, przeciwstawia mu grecką również przedsokratesowską moralność biologiczną, moralność „dobrych“, którzy odnieśli tryumf nad „lichymi“, moralność, królującą „poza dobrem i złem“. Zauważę w związku z tem, że Nietzsche nietylko był filologiem-klasycykiem z powołania, uczniem króla filologów Rietzschla — pracą, która zapewniła mu jeszcze za czasów jego studenckich profesurę filologiczną w Bazylei, było właśnie studjum o Theognidese, tym najważniejszym przedstawicielu biologicznej moralności „dobrych“.

Czyż trzeba teraz dowodzić, że owa moralność w całości weszła w etykę Nietzschego-Zaratustry? „Gardzicielom ciała chcę słowo rzec... Ciało jest wielkim rozumem, mnogością o jednej treści... Narzędziem twego ciała jest twój mały rozsądek, bracie mój, który zwiesz „duchem“. Małżeństwo jest ogrójcem... lecz proszę przelożyć na język polski słowa Nietzschego: „*Nicht nur fort sollst du dich pflanzen, sondern hinauf! Darn helfe dir der Garten der Elte*“. Udoskonalenie gatunku w drodze małżeństwa... ale w tym celu trzeba, aby człowiek był „rasowy“; i oto Nietzsche zadaje pragnącemu małżeństwa: „Zaliś jest

człowiekiem, któremu wolno życzyć sobie dziecka". Jest to arystokratyzm biologiczny... „Godnym wydał mi się mąż ów i dojrzałym ku ziemskiej treści życia; gdym jednak żonę jego ujrzał, wydała mi się ziemia domem obłąkanych. O, bodajżeby ziemia miotła się w skurczach, ilekroć bohater parzy się z gęsią". Skutki nie dają na siebie czekać: ród ludzki drobnieje. „Wszystko drobnieje! Wszędzie widzę niskie wrota; ludzie mojej rasy mogą jeszcze przejść przez nie, lecz muszą się nachylać!"

Moralność „dobra i licha" tudzież jej zwycięstwo nad moralnością „dobra i zła" — oto oś całej filozofii etycznej Nietzschego, podstawa jego indywidualizmu. Indywidualistą zaś jest on z krwi i kości: nie w pospółstwie, lecz w poszczególnych jednostkach doskonałych zawiera się treść ziemi. Jednostki te są zarazem „dobre": ku nim zwraca się wezwanie filozofa: „Stań tem, czem jesteś!" (werde, der du bist!) — czyje zaś były te słowa, tego, spodziewam się, czytelnik nie zapomniał. I nikogo tak nie nienawidził, jak ludzi pospółstwa, owych „nader licznych" (die Vielzuvielen), o których tak czuła pieczę ma socjalizm.

VII.

Indywidualizm i socjalizm — innemi słowy, Nietzsche i Lassal. Dziwnym losu kaprysem...

nie, na mocy rozumnej i niezłomnej zasady rozwoju kultury umysłowej, ojcowie obu idei naczelnych, któremi żyje nasze społeczeństwo, byli uczniami bezpośrednimi starożytności. Wszak i Lassal rozpoczął swą naukową i pisarską karierę, jako filolog-kłasyk, od pracy o Heraklicie Ciemnym; i on swój moral socjalistyczny wsparł na filozofii przyrody Heraklita, podobnie jak Nietzsche za podstawę dla swej etyki indywidualistycznej wziął koncepcję biologiczną Theognidesa i jego zwolenników. I podobnie, jak Nietzsche w swoich wykładach w Bazylei za probierz dojrzałości umysłowej człowieka ogłaszał stosunek jego do antyku — tak samo Lassal wskazywał na zgłębianie starożytności jako na tarczę przeciw manchesterkiej teorii liberalizmu mieszczańskiego.

Niechaj owi „nader liczni" w trosce o swój układ nerwowy odwracają się od świata antycznego, ile się im podoba; w ten sposób wyrzekną się oni tylko własnej swojej przyszłości. Zawsze, ilekroć dokonać się miał jakiś przełom wielki w dziedzinie kultury umysłowej, genjusz ludzkości zawieszał nad widnokreplem godło świata antycznego: *in hoc signo vinces*.

Tak było, tak będzie zawsze.

Prof. Dr. Tadeusz Zieliński.

